

Adam St. Trąbiński

Faj-club

Przegląd Pruszkowski nr spec., 124-125

2014

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych mazowsze.hist.pl.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Pałacikiem grupą klasową: Krzysiek Kopczyński, Janusz Janik, Krzysiek Żolik, Zbyszek Sierosławski, Jolka Helman, Ela Jaros, Ewa Sobczak, Ewa Szczypior, Mania Warunek i rozmawiamy – bardzo poważnie: co dalej po maturze? Cisza, spokój – luz i blues. Zbyszek robi zdjęcia, idziemy na spacer po mieście. Te zdjęcia zrobione wtedy to najcenniejsza pamiątka – nie z pochodu, lecz ot tak sobie.

FAJ-CLUB

To była nieformalna instytucja, pełną gębą. Następne pokolenia lub wcześniejsze zapewne takową posiadały. Faj-clubem nazywaliśmy męską ubikację na parterze, gdzie obowiązywały twarde i proste zasady. W czasie przerw (głównie tej 20-minutowej po 3 lekcji) lub pomiędzy lekcjami była to palarnia papierosów – okno szeroko otwarte (kiedyś podczas pracy klubu zapędziłem się pod zakratowane okno – dym walił jak z parowozu). Honorowym miejscem był parapet – góra na trzech chłopaków – wedle starszeństwa. Dyskutowano na wszystkie tematy – w XI klasie w poniedziałki prezentowałem CAŁĄ Top 30 listę (przepisana z angielskich gazet w sobotę w KMPiK-u, koledzy znali tylko Top 20 z Radia Luxembourg). Starano się petów NIE RZUCAĆ do rynienki, gdzie oddawano urynę, wrzucano je do ubikacji w dwóch kabinach lub do jakiegoś pudełka. Jednak NAJWAŻNIEJSZYM ELEMENTEM klubu były drzwi. Były bujane – jak w salonie – lecz bez tej przerwy powyżej. Każdy, ale każdy – palący czy też nie, OBOWIĄZKOWO MUSIAŁ PUKAĆ! Wystarczyło jedno puknięcie i już. Brak puknięcia skutkowało chowaniem cennego papieroska za siebie, a mniej wytrzymali nerwowo pstrykali je do pisuaru-rynienki. Młodzież szkolona była ostro traktowana – nie zapukał, musiał przeproszać, a jeśli się stawiał, był brany pod pachy i wkładany do długiej umywalki w łazienkowej części ubikacji i oblewany wodą. W tej części była kabina dla nauczycieli i ona była sprawdzana (przed fają i przed podłuchem) przez pukanie lub przez okienko

w jednej z kabin klubu. Oczywiście były wpadki – sam widziałem w akcji naszego „Grzyba” (dyr. Gilewicz), który wkroczył w trakcie posiedzenia. Mnie (niepalącego do dziś) usunął natychmiast, lecz ciekawy stałem w drzwiach. Pety dymiły dumnie w rynience, a zagapiony koleś z fajeczką w dłoni miał alternatywę: przyprowadzić rodzica (co było mało sensowne) lub wyłożyć 20 – 50 zł na rozbudowę szkoły (za pokwitowaniem) oraz dodatkowo ręką powybierać pety z rynienki.

KUBEŁ

To była druga, ważna instytucja w szkole, czyli woźny. Zabijcie mnie, ale nie wiem (nigdy nie wiedziałem) jak naprawdę się nazywał. Był ważny. Bardzo. Panował całe 20 lat – złośliwi mówili: pracowity – buduje się przy ul. Komorowskiej. Ale kto się tam nie budował? Był słusznej postury, patrzył ponuro, a przede wszystkim był złośliwy. Wiele razy spuścił mi powietrze z roweru, gdy ten tarasował mu (i innym?) wejście przy głównych drzwiach. Wiele poleceń dyrektora wykonywał niemal z dziką pasją, np. zamykał drzwi wejściowe o godz. 7.45 – gdyż w tym czasie odbywał się apel (durne apele z okazji Dnia Żołnierza, rewolucji październikowej czy urodzin Broniewskiego); sporządzał listę osób u wejścia i usłużnie składał w dyrekcji. Krótko – pilnował porządku i na co dzień zajmował się sprawami technicznymi. M.in. miał w opiece kotłownię, osoby z nim zaprzyjaźnione (cenił, a raczej się bał rosnących wysportowanych chłopaków) mogły się tam przechować na czas niewygodnej klasówki (gdy na zewnątrz sroga zima), czy też tyknąć do spółki coś mocniejszego, co niżej podpisanemu kilka razy się zdarzyło. Był przede wszystkim człowiekiem do zadań specjalnych DYREKTORA GILEWICZA. Lojalny. Bardzo często koło południa, kiedy sekretariat wysmażył już pisma, brał swój taki wielki rower i na nasze pytanie: gdzie? Odpowiadał poważnie klepiąc się po